Foto: W. Hudon

**SŁOŃCE SIĘ PRZYGLĄDA TRAWIE,
WIOSNA DO NAS SIĘ UŚMIECHA...
NA WYPRAWIE JEST CIEKAWIE:
MAMY ŚLAD... WŁASNEGO ECHA.**

Wyprawa w WIOSNĘ

CZUJECIE, jak wokół pachnie wiosna? Już nawet najbardziej zaspane susły wyszły na swój pierwszy, wiosenny zwiad. A cóż dopiero harcerze?...

Wiosna — panie i panowie! Wszędzie zielono, wesoło, przyjemnie. Dość już siedzenia w domu. Dość zbiórek zastępów w izbach. Bierzcie przykład z zastępów, które wyszły już na pierwsze wyprawy w teren.

Była to okazja do przeglądu mundurowego, do sprawdzenia orientacji w terenie, do poszukiwań różnych skarbów i zwiedzania tajemniczych zakamarków. Niezwykłe wrażenia i ciekawe zdarzenia znalazły już odbicie na kartach kronik zastępów, rozpoczynając w nich nowy rozdział pod hasłem: „Wyprawy w wiosnę".

Ale to dopiero początek. Z każdym dniem słońce będzie wyżej i dłużej świecić. A więc...

Uwaga, zastępy! — wykorzystajcie najbliższą niedzielę na wyprawę w teren. Żeby nikt w zastępie nie powiedział o żadnym z was: „był ciężki frajer, jakich niewiele, co prześlimaczył całą niedzielę!"

świat MŁODYCH

GAZETA HARCERSKA

Nr 28 (1706) Warszawa, piątek, 5 kwietnia 1968 r. Cena 50 gr

KLUB NASTOLATKÓW

TAK NIE MOŻNA

● **Mnie nie przypadła z początku do gustu muzyka big-beatowa, ale z biegiem czasu zmieniłem zdanie. Obecnie z przyjemnością słucham utworów w wykonaniu zespołów mocnego uderzenia. Byłem ostatnio na koncercie. Oburzyło mnie zachowanie się młodzieży. Było skandaliczne! W niektórych momentach młodzież „z uciechy" przekrzykiwała wykonawców.**

Według mnie przychodzi się na koncert po to, aby posłuchać i być zadowolonym lub nie, ale dlaczego swoje uczucia wyrażać poprzez krzyki, wymachiwanie i rzucanie czapkami lub marynarkami? Przecież widzowie lubią słuchać koncertów, ale w spokoju, a nie „z pomocą" publiczności. (b.s.)

ROMEK

AKCJA — KROKODYL

PŁOCK jest jednym z nielicznych miast powiatowych posiadających własne ZOO. Przed paroma laty było tu zaledwie kilka okazów egzotycznych zwierząt. Wówczas to pan inżynier Taworski, dyrektor ZOO, wpadł na pomysł nawiązania kontaktów z naszymi rodakami z kontynentu amerykańskiego.

— Będziemy wysyłać im polskie książki, których brak tamtejszym dzieciom, a w zamian poprosimy o okazy egzotycznych zwierząt.

— I tak się zaczęła ożywiona współpraca z rodakami zza oceanu. Z Płocka popłynęły do nich tysiące zebranych przez dzieci książek, a nasi rodacy urządzali tymczasem polowania na najprzeróżniejsze gady, płazy, drapieżne zwierzęta i ptaki. Podchwyconą przez siebie akcję „Za książki — zwierzęta", nazwali „Akcja — krokodyl". I choć nie tak łatwo było im zdobyć krokodyla, dziś płockie ZOO może się już poszczycić dwoma dorodnymi okazami tych płazów. Jest to dar inż. Tadeusza Wągrowskiego, jednego z pierwszych uczestników tej akcji w Stanach Zjednoczonych.

Nieomal każdym rejsem polskie statki obsługujące linię południowo - amerykańską przywożą coraz to inne egzotyczne podarunki. Dzięki pomysłowości p. Taworskiego (na zdjęciu) Płock posiada jeden z najpiękniejszych ogrodów zoologicznych.

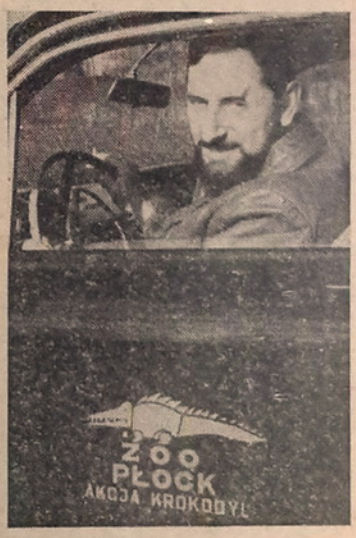

Foto: CAF — Grzęda

W środę, 27 marca 1968 roku, tragicznie przerwane zostało życie pierwszego kosmonauty świata, pułkownika Jurija Gagarina, Bohatera Związku Radzieckiego, członka KPZR, deputowanego do Rady Najwyższej ZSRR. W tej samej katastrofie lotniczej, zginął także inżynier pułkownik Władimir Sieregin Bohater Związku Radzieckiego.

Na wieść o śmierci Kolumba Kosmosu cały świat pogrążył się w smutku i żałobie.

Prochy Jurija Gagarina spoczęły na wieczne czasy na Placu Czerwonym pod murem kremlowskim, tam gdzie przed niespełna 7 laty wiwatowały na jego cześć niezliczone tłumy po szczęśliwym powrocie z Kosmosu.

KOLUMB KOSMOSU

POZOSTANIE NA ZAWSZE SYMBOLEM NASZEJ ERY

DZIEWIĄTEGO marca ukończył 34 lata — a za kilka tygodni — w dniu 12 kwietnia — miał świętować VII rocznicę swego historycznego lotu w Kosmos. Niestety, nie doczekał tego dnia. W czasie lotu treningowego na dwumiejscowym samolocie odrzutowym (już po wykonaniu zadania) następuje awaria, w wyniku której ginie pionier Kosmosu — Jurij Gagarin, a razem z nim dowódca oddziału lotniczego, inż. płk. Władimir Sieregin.

Jak żaden człowiek Jurij zdobył sobie sympatię milionów. Mimo ogromnej sławy był zawsze skromny, pogodny, uśmiechnięty. Był człowiekiem - legendą, marzeniem milionów młodych chłopców i dziewcząt. On pierwszy rozerwał pęta grawitacji, które przykuwały nas do rodzinnej planety. On pierwszy spojrzał na Ziemię z wysokości kilkuset kilometrów. On pierwszy utorował ludzkości drogę do gwiazd. Jego sława na zawsze przejdzie do historii najwspanialszych zwycięstw człowieka nad siłami przyrody.

Gagarin to symbol naszej epoki, epoki lotów kosmicznych. W swoim wiadzie mówił kiedyś: „...w ślad za pierwszymi krokami podążą następne. Ludzie staną **na księżycowych ścieżkach, oblecą planety, wstąpią na ich powierzchnię. Nauczą się żyć w Kosmosie tak długo, jak długo będzie trzeba. Dotrą na koniec do innych gwiazd i planet. Nie wierzyć w to, oznacza nie wierzyć w siłę i potęgę ludzkiego rozumu...”**

Jurij Gagarin nigdy nie zadowolił się sławą Kolumba Kosmosu. Zawsze był ze swoimi kolegami - kosmonautami. Razem z nimi przygotowywał się do następnych wypraw w przestrzeń pozaziemską. Marzył o locie na Księżyc i inne planety.

Marzyliśmy o tym i my. Widzieliśmy Go oczami wyobraźni, jak pozdrawia nas z odległej, innej planety. Te marzenia już się nie spełnią. Jego miejsce zajmą inni, ale imię Gagarina żyć będzie zawsze w pamięci wszystkich mieszkańców naszego globu.

Jurij Aleksiejewicz Gagarin urodził się na wsi 9 marca 1934 roku, w okolicach Smoleńska. Jego ojciec był zwykłym, wiejskim stolarzem w kołchozie. Kiedy Jurij miał 7 lat, hitlerowcy napadli na jego kraj. Wojna nie przeszkodziła mu rozpocząć nauki w szkole podstawowej. Później, już po wypędzeniu okupanta, zapisał się do szkoły rzemieślniczej pod Moskwą, zdobywając w 1951 roku zawód gisera.

— Jurij uczył się doskonale — mówi o nim dyrektor szkoły. — Wiele czytał, a w szczególności pasjonował się literaturą fantastyczno-naukową. Na pewno nie przypuszczał wtedy, że stanie się bohaterem bardziej fantastycznej przygody niż te, które poznawał z książek. Był to chłopiec wszechstronnie rozwinięty. Pasjonował się sportem, a szczególnie piłką nożną. Pamiętam, że w naszej drużynie szkolnej był najlepszym bramkarzem.

Po skończeniu szkoły zawodowej przeniósł się na dalsze studia do Technikum Przemysłowego w Saratowie nad Wołgą. Już wtedy zaczął marzyć o lataniu na samolotach. Zamiłowanie do lotnictwa sprawiło, że wstąpił do aeroklubu w Saratowie. Później był słuchaczem wojskowej szkoły lotniczej w Orenburgu, którą skończył z odznaczeniem, jako pilot-oficer pierwszej klasy. Latał na różnych typach odrzutowców.

— Jurij był wyjątkowo dobrym kolegą — mówią o nim piloci — Skromny, wesoły, lubiący żartować, a przy tym odznaczający się silnym charakterem. Te cechy charakteru oraz doskonałe opanowanie pilotażu zdecydowały, że został wybrany na kandydata do pierwszego lotu kosmicznego.

Przez swoje krótkie, ale jakże bogate życie nigdy nie zawiódł swoich przełożonych, swojego kraju. Wielkim wysiłkiem i pracowitością osiągnął największą sławę ze wszystkich ludzi. Nigdy jednak nie przestał być skromnym, uśmiechniętym, powszechnie lubianym Juroczką.

Jurij w gronie rodzinnym, ze swą żoną Walentyną i starszą córeczką — Lenoczką.

Foto CAF

108 MINUT

12 kwietnia 1961 roku na kosmodromie Bajkonur trwają ostatnie przygotowania do startu rakiety. Do stalowego rusztowania podchodzi pilot. Wsiada do windy, która zawiezie go na szczyt rakiety, tam, gdzie znajduje się kabina Wostok. Spogląda raz jeszcze na grupę przyjaciół, żegnających go przed lotem w Nieznane:

— Szczęśliwej drogi! — Szczęśliwego lądowania!

Jeszcze chwila i Jurij znika wewnątrz kabiny. Ludzie opuszczają betonową płytę i schodzą do podziemnych bunkrów, gdzie znajdują się punkty dowodzenia. Tu, na ekranach telewizorów, widzą doskonale potężne cielsko rakiety.

Upływają ostatnie sekundy. 10 sekund, 9, 8... 4, 3, 2, 1, zero! Start! Nagle z wnętrza silnika wystrzeliło oślepiające światło. Słychać ogłuszający ryk silników. Po chwili rakieta, jakby ociągając się, wolno uniosła się do góry, ale już wkrótce znikła w przestworzach. W ciągu 200 sekund prędkość rakiety wzrosła od zera do 27 tys. km/godz. Pierwszy astronauta świata wystartował w Kosmos!

Oto rakieta, która wyniosła na orbitę okołoziemską Gagarina w statku kosmicznym „Wostok-1”.

W kilka godzin później wiedział o tym cały świat, a imię Jurija Gagarina było na ustach milionów.

— W czasie lotu — opowiadał Gagarin — jako pierwszy człowiek, przekonałem się na własne oczy, że Ziemia jest okrągła. Oświetlona strona Ziemi, ta, na której jest dzień, widoczna jest bardzo wyraźnie. Dokładnie widać wybrzeża kontynentów, wyspy, wielkie jeziora, rzeki, góry. Szczególnie pięknie wygląda horyzont naszej planety. Im dalej od powierzchni Ziemi delikatny błękit ciemnieje, staje się niebieskawy, szafirowy, granatowy, aż wreszcie zlewa się z czernią nieba. To coś fantastycznego! Tak pięknych kolorów nigdy dotąd nie widziałem.

Lot Jurija trwał 108 minut! W tych 108 minutach zawarta była praca wielu lat przygotowań inżynierów, uczonych, robotników i samego Gagarina. 108 minut to rezultat zwycięskiej batalii człowieka nad siłami grawitacji.

Dary LASU I MORZA

Foto WITOLD BOREWICZ

Stanisław Tychawski — ze Świnoujścia — tworzy swe dzieła w oparciu o wyrzucone z morza korzenie, które nazywa „darami morza". Jego prace przedstawiane były w wielu miastach na Pomorzu Zachodnim.

Kazimierz Dąbrowski, warszawiak, posiada kolekcję około 300 maleńkich „cudaczków". Wielokrotnie wystawiał swe prace na terenie Warszawy i województwa warszawskiego.

Halina Kudzia — też z Warszawy — „wyczarowuje" swoje kompozycje z korzeni w połączeniu z kwiatami. Projektuje piękne kompozycje zastępujące świąteczne choinki.

Stanisław Stępiński — z Zakopanego — tworzy w korzeniach różne piękne kapliczki z świątkami oraz inne oryginalne formy.

Foto A. WYCZÓŁKOWSK

Foto T. ZARZYCKI

Kim są ci ludzie? — Są to ludzie, którzy potrafią dostrzec piękno w naturalnych formach dostarczanych przez korzenie lub konary. Są wielkimi miłośnikami przyrody. Nigdy żaden z nich nie odważyłby się niszczyć żywego drzewa dla pozyskania materiału na tworzywo dla swej twórczości. W swych wędrówkach po lasach, parkach, drogach, brzegach rzek, jezior, morza — odpoczywając, zajmują się swoją twórczością.

Korzenioplastycy to ludzie spostrzegawczy i wrażliwi na otoczenie. Są w swej twórczości całkowicie oryginalni, gdyż nie mają ambicji imitowania sztuki uprawianej przez zawodowych rzeźbiarzy. Autentyzm widzenia i przeżycia jest ściśle związany z autentyzmem formy, które narzuca im sama natura.

Korzenioplastycy, zrzeszeni w wspomnianym Klubie, chcą rozpropagować ten rodzaj twórczości wśród młodzieży. Poszukiwanie tworzywa pozwala bowiem na racjonalny wypoczynek na świeżym powietrzu, tak potrzebny po nauce i pracy. Pragnęlibyśmy, ażeby przez Wasze pismo podjęta została inicjatywa tworzenia w drużynach harcerskich grup korzenioplastyków. My chętnie zaopiekujemy się młodzieżą zainteresowaną tego rodzaju twórczością.

TADEUSZ ZARZYCKI

Panie Redaktorze!

W Waszym poczytnym piśmie harcerskim podajecie wiele ciekawych wiadomości i zdjęć oryginalnych. Chcemy Pana poinformować, że w Warszawie powstał Ogólnopolski Klub Korzenioplastyków. Siedzibą tego Klubu jest Społeczny Dom Kultury, Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej, na Żoliborzu, ul. Próchnika 8a.

W Klubie tym zrzeszonych jest wielu znanych w Polsce i za granicą „korzeniarzy". Między innymi Jan Szostak z Augustowa, który będąc podczas wojny w partyzantce, w lasach Suwalszczyzny, w wolnych chwilach zbierał korzenie o przedziwnych kształtach, a potem przetwarzał je w piękne figurki przedstawiające ludzi, ptaki i zwierzęta. Dziś Jan Szostak jest bardzo znanym korzenioplastykiem, a jego wyroby zdobią szereg muzeów za granicą. W własnym muzeum, w Augustowie, co roku ogląda jego prace tysiące turystów. A oto inni korzenioplastycy:

POLSKI „PIRAT"

Produkowane w Polsce szybowce cieszą się dużym powodzeniem w wielu krajach świata. W ubiegłym roku sprzedaliśmy za granicę 650 szybowców. Poza tym eksportowano także samoloty 12 różnych typów — od sportowych i treningowych do wyczynowych. Największym wzięciem cieszy się nasz sprzęt lotniczy w ZSRR, Anglii, Szwajcarii, Belgii, Kanadzie i Japonii. Na liście odbiorców figurują już 23 państwa. Najbardziej poszukiwanym jest szybowiec wyczynowy „Pirat".

40 mln ZEGARKÓW

Związek Radziecki zajmuje obecnie drugie miejsce na świecie w produkcji zegarków. Pierwsze — przypada Szwajcarii produkującej rocznie 70 mln zegarków, podczas gdy produkcja ZSRR wynosi 40 mln sztuk. W następnej kolejności zajmują miejsca: Japonia — 16 mln i USA — 15 mln sztuk.

NAJSTARSZY MUNDUR

Najstarszym zachowanym mundurem polskim jest kurta łosiowa z 1770 roku znajdująca się w Muzeum Uniwersytetu Jagiellońskiego. Jest to mundur uczestnika Konfederacji Barskiej, Romualda Prus-Liszeckiego. Był on chorążym powiatu sądeckiego i wolontariuszem Insurekcji Kościuszkowskiej.

GEOGRAFIA I REKORDY

Gdzie łatwiej ustalać rekordy — na biegunie, czy na równiku? Pytanie pozornie pozbawione sensu, jako że kilogram zawsze zawiera 1 000 gramów, na metr składa się 100 centymetrów, a minuta liczy 60 sekund. A jednak okazuje się, że w pewnych punktach ziemskiego globu sztanga jest nieco cięższa niż przewiduje regulamin. Im dalej od środka ziemi, tym mniejsze przyciąganie. Ale główna przyczyna tego zjawiska — to siła odśrodkowa, powstająca przy ruchu obrotowym kuli ziemskiej. Najbardziej daje się to odczuć na równiku, gdzie zmniejsza wagę ciała o 1/289 część.

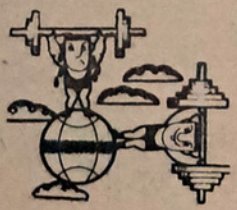

W starych podręcznikach można znaleźć żartobliwe opowiadanie o kupcu, który kupował mąkę na równiku, a następnie sprzedawał w okolicach podbiegunowych, sporo zarabiając na tej operacji.

Gdyby więc nasza znakomita sportsmenka Irena Kirszenstein skakała w Afryce równikowej, prawdopodobnie uzyskałaby wynik o kilka centymetrów lepszy niż zazwyczaj.

WYPRAWA PO KORZENIE

To znakomity temat najbliższej (może już w niedzielę) zbiórki zastępu w terenie. Zdobyte trofea ozdobią w izbach harcerskich kąciki zastępów. A może warto zrobić konkurs między zastępami na najładniejsze korzeniokształty...

Zanim byliście dziećmi

Był taki czas...

Opowiem wam o sprawach, które zdarzyły się wcześniej, nim zaczęliście być dziećmi. O tym, jak trudno było być dzieckiem prawie ćwierć wieku temu w świecie ludzi dorosłych i wykształconych i — ponad miarę ich dorosłości i wykształcenia — okrutnych wobec dzieci.

Był taki czas, w którym „nastolatki" zarabiały na chleb dla całej rodziny wszystkimi dostępnymi dla siebie sposobami, a prawie każdy z tych sposobów był ponad ich siły. Za omastę do chleba nieraz przyszło płacić własnym życiem.

Był taki czas, kiedy dzieci polskie, i nie tylko polskie, były żołnierzami na równi z dorosłymi. Dziś tych, którzy przeżyli, nazywa się kombatantami. Niewielu ich — niestety — przeżyło.

Był taki czas, kiedy nad każdym dzieckiem wisiała groźba, że będzie zastrzelone, pobite albo odebrane rodzicom, wywiezione do obozu, gdzie czekała je praca ponad siły i, jakże często, śmierć z wycieńczenia i głodu.

Nikt nie wie i nikt nie obliczy, ile dzieci zginęło z głodu, od kul i od bomb w równanych z ziemią wsiach i miasteczkach, w płonących gettach i w walczącej Warszawie.

Nikt dziś dokładnie nie wie i nie dowie się chyba nigdy, ile dziewcząt i chłopców odebrano rodzicom i wywieziono do Niemiec hitlerowskich. Nikt nie wie, ile ich teraz żyje po dziś dzień, nie znając ani swojego polskiego imienia i nazwiska, ani polskiej mowy, ani historii własnej, ani historii własnej ojczyzny.

Nikt nie jest w stanie dowieść, ile dzieci zamordowano i spalono w hitlerowskich krematoriach. Była to bowiem zbrodnia przekraczająca możliwości ludzkiej spostrzegawczości i dociekliwości, ale nie przekraczająca ludzkiej pamięci. A jednak oprawcy dzieci żyją do dziś.

*

Wy nie możecie tego czasu pamiętać. Nie potraficie go sobie nawet wyobrazić — taki to był okrutny czas. Ale wiedzieć o nim powinniście, żeby nigdy nie powtórzył się taki czas, i żeby nie zagrażał ani wam, ani waszym dzieciom FASZYZM — największy wróg dziecka, ludzkości.

WACŁAW BISKO

KIDNAPERZY SPOD ZNAKU SWASTYKI

200 TYSIĘCY ZRABOWANYCH DZIECI POLSKICH

Największa zbrodnia hitleryzmu to rabunek i permanizacja dzieci prawie wszystkich podbitych narodów, a przede wszystkim dzieci narodu polskiego (około 70—80 procent wszystkich dzieci poszukiwanych i odnalezionych w Niemczech i Austrii).

Hitlerowcy, gwałcąc podstawowe prawa ludzkości i przepisy prawa międzynarodowego, dokonując systematycznej kradzieży dzieci, mieli podwójny cel: wzmocnienie siły biologicznej własnego narodu i wyniszczenie narodów podbitych.

Z 200 tysięcy zrabowanych dzieci polskich naród nasz odzyskał z trudem zaledwie kilkadziesiąt tysięcy, a więc około 15-20 proc. Reszta pozostała w Niemczech i nic nie wie o swoim pochodzeniu.

Masowy wywóz dzieci z Zamojszczyzny w r. 1943, o którym ludność Warszawy dowiedziała się przypadkowo, wywołał spontaniczną i żywiołową reakcję. Dzięki pomocy kolejarzy polskich udało się wówczas odebrać potajemnie z wagonów kolejowych na Dworcu Wschodnim część dzieci Zamojszczyzny przeznaczonych na wywiezienie w głąb Rzeszy.

Poszukujemy uczestników tej akcji. Listy prosimy nadsyłać pod następującym adresem: „Świat Młodych", Warszawa, ul. Mokotowska 24, z dopiskiem: „Rabunek dzieci polskich".

ŻYWE DZIECKO ZA 5 MAREK

Biuletyn Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce, t. II, Warszawa 1947 r. str. 71, zamieszcza m. in. następujące zeznania świadków:

„...Gdy byłem w Niemczech, widziałem u Niemca kupione dziecko w Polsce. Mówiono mi, że Niemcy kupowali dzieci polskie, płacąc za nie po 5 marek..."

(Jan Kamiński z Huszczki Dolnej)

„...Od bratańca mego, Wacława Wąska, obecnie przebywającego na Zachodzie, dowiedziałem się, że on sam w Zamościu kupił od Niemca niemowlę czteromiesięczne, znajdujące się w obozie w Zamościu, za 5 zł..."

(Józef Wąsek z Wisłowca)

„...Widziałem w Oświęcimiu transporty dzieci, które Niemcy samochodami gdzieś wywieźli, lecz gdzie — tego ja nie wiem. Niemcy mówili, że wywieźli te dzieci do Niemiec..."

„Wypowiedzi te rzucają zaledwie słaby promień światła na los wywiezionych do Niemiec dzieci z Zamojszczyzny, który dotychczas otoczony jest mgłą tajemnicy."

(Roman Z. Hrabar „Hitlerowski rabunek dzieci polskich 1939—1945", Wydawnictwo „Śląsk" 1960).

TAKICH ŚWIADKÓW JEST WIELU...

W czasie procesu norymberskiego zeznawała jako świadek Seweryna Szmaglewska, literatka i dziennikarka, była więzień obozu Oświęcim-Brzezinki, przebywająca tam od 7 października 1942 do stycznia 1945.

A oto fragmenty tych zeznań zaczerpnięte z protokołu procesu norymberskiego z 27.II.1947:

LOS MATKI W OŚWIĘCIMIU

Już w grudniu 1942 roku, gdy pracowałam w odległości około dziesięciu kilometrów od Brzezinki... zauważyłam wówczas kobietę w ostatnim miesiącu ciąży; wskazywał na to jej wygląd. Kobieta ta musiała razem z innymi iść dziesięć kilometrów do miejsca pracy, gdzie z łopatą w ręku pracowała cały dzień przy kopaniu rowów.

Była ona już chora i prosiła dozorcę, niemieckiego cywila, o pozwolenie na odpoczynek. Ten odmówił, wyśmiał ją i razem z drugim esesmanem zaczął ją bić. Z całą surowością kontrolował ją pracę. Taka była sytuacja kobiet ciężarnych, którym jedynie w ostatnich dosłownie minutach pozwolono opuszczać pracę...

... W kilka minut po rozwiązaniu dziecko zabierano matce, która go już nigdy potem nie widziała. Matka po kilku dniach musiała wracać do pracy.

GDZIE SĄ TE DZIECI?!

W roku 1942 nie było w obozie specjalnych bloków dla dzieci. W początku roku 1943, gdy zaczęto tatuować więźniów, dzieci urodzone w obozie również otrzymywały tatuaż. Numer tatuowano im na nogach... ponieważ niemowlę jest bardzo małe i na małych rączkach nie było miejsca na pięciocyfrowe liczby. Dzieci nie otrzymywały specjalnych numerów, lecz te same co dorośli, to znaczy, dawano im numery kolejne. Dzieci umieszczano w specjalnym bloku i co kilka tygodni, czasem co kilka miesięcy, zabierano je z obozu.

Nie udało się nigdy dowiedzieć, dokąd te dzieci zabierano. Ale zabierano je regularnie przez cały czas istnienia obozu, a więc w latach 1943 i 1944. Ostatni transport dzieci odszedł z obozu w styczniu 1945 roku. Były to nie tylko dzieci polskie, bo jak wiadomo w Brzezince były kobiety z całej Europy. Nawet dziś nie wiemy, czy dzieci te w ogóle żyją.

Chciałabym w imieniu wszystkich kobiet z całej Europy, które stały się w obozie matkami, zapytać dziś Niemców: „Gdzie są te dzieci?"

DZIECI Z POWSTANIA WARSZAWSKIEGO

W czasie powstania warszawskiego dzieci zagarnięte w Warszawie przywieziono do obozu koncentracyjnego. Najmłodszym wśród nich był sześcioletni chłopiec. Dzieci te umieszczono w specjalnych barakach. Gdy rozpoczęło się systematyczne wywożenie więźniów z Brzezinki w głąb Rzeszy, dzieci te zaczęto używać do ciężkiej pracy. W tym samym czasie przybyły do obozu koncentracyjnego dzieci Żydów węgierskich, które pracowały razem z dziećmi przywiezionymi z powstania warszawskiego. Dzieci pracowały przy dwóch wozach, które musiały ciągnąć, wożąc węgiel, złom żelazny, drzewo na podłogi oraz inne ciężkie przedmioty z obozu do obozu. Pracowały one również przy rozbiórce jednego z baraków w czasie likwidacji obozu.

Dzieci te pozostały w obozie koncentracyjnym aż do samego końca. W styczniu 1945 roku zostały ewakuowane i musiały pieszo iść do Niemiec w warunkach równie trudnych jak frontowe, pod strażą esesmanów, bez pożywienia, robiąc dziennie marsze około 30 kilometrów.

Genowefa Duszczak-Pilecka, bohaterska matka, która uroziła dziecko w Oświęcimiu i ocaliła je przed hitlerowskimi zbrodniarzami. Tak wyglądała tuż przed aresztowaniem.

URODZIŁEM SIĘ W OŚWIĘCIMIU

Urodziłem się w Oświęcimiu. Moglibyście zapytać: co w tym dziwnego, przecież niektórzy z nas urodzili się też właśnie tam, w mieście znanym z wielkiego kombinatu chemicznego, w mieście nowych domów, szkół, w mieście, związanym z codziennym życiem Polski. Lecz kiedy ja przyszedłem na świat, był grudzień roku tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego. Wtedy słowo „Oświęcim" znaczyło: obóz śmierci.

Znacie już miejsce i czas moich urodzin. W pamięci nie zachowało mi się z tego okresu żadne wspomnienie — byłem zbyt mały, by cokolwiek mogło utrwalić się w mojej świadomości. Dlatego też wszystkie swoje wiadomości i całe moje opowiadanie opieram na relacjach rodziców i bliskich, którzy przeżyli oświęcimski koszmar.

Mama, aresztowana w marcu 1943 roku za przynależność do organizacji podziemnej, w grudniu tegoż roku została wywieziona do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. Tam, w bloku XI, osławionym bloku śmierci, poznała swego przyszłego męża, a mojego ojca, wówczas więźnia nr 808. Wkrótce potem przeniesiona została do oddziału kobiecego w Oświęcimiu-Brzezince. Tam w bloku VIII urodziłem się. Nie było jednak żadnej pewności, czy będę żył. Oświęcim był miejscem zagłady milionów, życie nie stanowiło żadnej wartości. I w tym miejscu, gdzie hitlerowska machina zbrodni niszczyła masowo istnienia ludzkie, nie zdołano zabić w ludziach ich najwyższej wartości — człowieczeństwa.

Dzięki staraniom mamy i jej koleżanek-współwięźniarek, dzięki troskliwej opiece i ochronie zostałem ocalony. To one, nie bacząc na niebezpieczeństwo, ukrywały mnie, stwarzając mi w warunkach śmierci — warunki życia. Sam o tym nie wiedząc, zostałem zaliczony do społeczności więźniarskiej. Otrzymałem numer obozowy 202368.

Jak wam wiadomo, wszyscy więźniowie, przybywający do obozu, otrzymywali kolejne numery tatuowane na przedramieniu. Natomiast dzieciom, urodzonym w obozie, o ile nie zostały zabite, tatuowano numery na udzie. Ja — dzięki pomocy więźniów — otrzymałem jedynie małą szmatkę z wydrukowanym numerem. Szmatka ta do dnia dzisiejszego jest przechowywana w moim domu i stanowi jedną z nielicznych pamiątek z tego okresu.

Mgr inż. Andrzej Pilecki (zdjęcie współczesne).

Andrzej Pilecki razem z babcią, Kazimierą Duszczak, w Lipinach-Świętochłowicach. Zdjęcie z roku 1945. Andrzej nie miał jeszcze roku.

Nadszedł styczeń roku 1945. Wojska radzieckie zbliżały się do Oświęcimia. Hitlerowcy partiami ewakuowali obóz, wysadzali krematoria, zacierali ślady największej w historii świata zbrodni na ludzkości. W tym niespokojnym okresie ogólnego zamieszania i tumultu, gdy faszyści w popłochu uciekali przed zbliżającą się armią radziecką, mama podjęła wspólnie z koleżankami decyzję ucieczki. Nie było to zadanie ani proste, ani bezpieczne. Wycofujące się oddziały hitlerowskie pozostawiały za sobą zniszczenie, mordowały więźniów. Łatwo można było stać się ofiarą wściekłości pokonanych hitlerowców, wściekłości bezsilnej, nie mogącej już odwrócić karty historii, lecz zbierającej jeszcze żniwo śmierci.

Zima roku zwycięstwa, roku 1945, była sroga. Drugą pamiątką owych lat jest duża wełniana chusta, do dziś przechowywana pieczołowicie w domu przez babcię. W warunkach obozowych niemożliwością było zdobycie jakiegokolwiek okrycia dla dziecka. Mama pokonała tę trudność — z narażeniem życia wykradła ją z esesmańskich magazynów, obficie zaopatrzonych w mienie pomordowanych więźniów. Taki sam krok został przez jedną z więźniarek przypłacony życiem.

Jan Pilecki — inżynier-elektryk — były więzień Oświęcimia, który uratował z bloku śmierci swoją przyszłą żonę. Ojciec dziecka poczętego i urodzonego w obozie zagłady. Obecnie attaché handlowy przy Ambasadzie Polskiej w Tokio.

Następnym problemem było pokonanie drogi do rodzinnego domu mamy — Świętochłowicach, problemem trudnym, jeśli się zważy, że trwała jeszcze wojna i regularna komunikacja kolejowa jeszcze nie istniała, a wokół znajdowały się rozbite, lecz groźne dla cywilnych uchodźców siły niemieckie.

Po wielu trudach i niebezpiecznych przygodach, przebywając część podróży pociągiem, a potem wspomagana przez żołnierzy radzieckich, dotarła mama ze mną do domu. Zastała tylko swoją matkę, gdyż pozostali członkowie rodziny przebywali bądź w obozach, bądź też na robotach w Niemczech.

Życie powoli wracało do normalnego toku. Powrócił z obozu ojciec, dziadek — również więzień Oświęcimia, siostra mamy zesłana do Niemiec na roboty przymusowe. Wszyscy przystąpili do pracy w zniszczonym, lecz wolnym i odbudowującym się ze zniszczeń kraju. Od tej chwili datują się moje pierwsze wspomnienia z dzieciństwa, dzieciństwa już szczęśliwego, otoczonego troskliwą opieką całej rodziny.

Krótko mieszkaliśmy na Śląsku. Wszyscy członkowie rodziny przenieśli się do Warszawy, rodzinnego miasta mego ojca. Właśnie tu zacząłem i ukończyłem szkołę podstawową, a potem liceum Ogólnokształcące im. Jana Zamoyskiego nr 18 przy ulicy Smolnej. W roku 1962 rozpocząłem studia na Wydziale Architektury Politechniki Warszawskiej. W bieżącym roku uzyskałem dyplom i już niedługo rozpocznę pracę w jednym z warszawskich biur projektowych.

Jestem jednym z niewielu dzieci Oświęcimia, które ominęła śmierć, które mają rodziny, które ukończyły studia wyższe. Sądzę, że zarówno ja, jak i wy, nie powinniśmy zapomieć o tysiącach dzieci zamordowanych w Oświęcimiu lub wywiezionych do Niemiec, dzieci pozbawionych rodzinnego ciepła, dzieci którym odebrano szczęście. Ta pamięć — to oskarżenie ludobójców i żądanie ich ukarania — przestroga dla świata, by nie dopuścił do podobnych zbrodni.

Mgr inż. ANDRZEJ PILECKI

UCZCIMY PAMIĘĆ NASZYCH RÓWIEŚNIKÓW

Ze wszystkich stron ziemi kieleckiej płyną pieniądze na Budowę Pomnika. Na apel Komitetu Budowy odpowiedziały drużyny Chorągwi Kieleckiej ZHP — 46 Szczep „Czerwonych Beretów" z Radomia, harcerze z Mokoszyna, druhowie ze Szkoły Ćwiczeń w Busku-Zdroju, LO w Zwoleniu, w Smogorzowie.

Wiele drużyn harcerskich gromadzi fundusze na ten cel.

Harcerze ze wsi Niedźwiedzia, pow. Staszów skierowali do wszystkich drużyn zuchowych i harcerskich następujący apel:

„Jest nas — harcerzy — prawie 2 miliony, jeśli każdy z nas wpłaci tylko jedną złotówkę, uzbieramy dużą sumę. W ten sposób szlachetnie uczcimy pamięć naszych rówieśników, którzy zginęli na barykadach Powstania Warszawskiego, w obozach koncentracyjnych, podczas zbrodniczych pacyfikacji wsi i miast polskich.

Niech pieniądze wpłacone przez nas na fundusz Pomnika - Szpitala będą symbolem hołdu dla dzieci, ofiar II wojny światowej. (tj)

JANUSZ SAPA
Komenda
Kieleckiej Chorągwi ZHP

Na dużej przerwie

Na dużej przerwie harcerze ze szczepu im. Hanki Sawickiej w Świeszynie, pow. Koszalin, ogłosili zbiórkę alarmową. Przyboczna odczytała z „Głosu Koszalińskiego" apel o budowie Centrum Zdrowia Dziecka. Następnego dnia wszyscy druhowie przynieśli po złotówce. Po zebraniu pieniędzy szczep zaapelował do całej młodzieży szkolnej. I tak wszyscy uczniowie szkoły podstawowej przekazali pieniądze na pomnik — Centrum Zdrowia Dziecka.

TERESA KRAWIECKA
Świeszyno

Detektyw zgubił swój PARASOL

ZNACIE chyba **Sherlocka Holmesa,** Herkulesa Poirot i Jamesa Bonda. Dowiedzcie się więc, że ci panowie przy Cezarze Coupatout są zwykłymi praktykantami.

Cezar Coupatout z pewnością nie wyróżnia się przy pierwszym spotkaniu niczym szczególnym, jeśli nie liczyć jego dziwnego hobby: łapania za guzik cudzej marynarki i kręcenia nim, aż się oderwie. Ale on ma metodę, swoją metodę. Przedstawił mi ją pewnego dnia, gdy przyszedłem do niego dowiedzieć się, w jaki sposób osiąga tak wspaniałe rezultaty.

— Domyśla się pan zapewne — mówił mi, śmiejąc się cicho — że nie będę się czołgać na czterech łapach jak ten dzielny Sherlock Holmes, żeby studiować przez lupę kolor źdźbła tytoniu lub zajmować się pokazowymi uderzeniami karata jak James Bond, ani też rozwiązywać problemu w pokoju przy pomocy psychologii jak nasz przyjaciel Herkules Poirot! Psychologia nie jest nauką ścisłą, karat jest dobry dla ludzi bez wyobraźni, a źdźbła tytoniu od dawną już nic nie znaczą. Moja metoda jest ściśle matematyczna: myśl, logika, rachunek. Nie trzeba żadnych skomplikowanych ankiet i dochodzeń: zwykła tablica i tabela logarytmów wystarczy. Kiedy mam problem do rozwiązania, wygodnie sadowię się tutaj i nie ruszam się z miejsca. Kilka godzin głębokiego namysłu oraz liczenia i rozwiązanie jest gotowe. To niezawodne!

Odrzucił niedbale drugi guzik, który przed chwilą urwał i zakończył:

— I tak zostałem obarczony misją odnalezienia klejnotów księżniczki de Vauricourt. Tej miłej damie bardzo zależało na prowadzeniu dochodzenia na miejscu kradzieży. Nie chciałem jej sprawić przykrości, ale ta formalność była zupełnie zbyteczna. Teraz pomyślę i...

Nagle umilkł i zaniepokojony spojrzał w stronę stojaka, na którym zwykle stawiał parasol.

— Do krocset!!! — zawołał. — Zgubiłem parasol!

To była jego druga charakterystyczna cecha: — noszenie ze sobą dużego czarnego parasola bez względu na pogodę.

— Łatwo go pan znajdzie — zażartowałem — taki świetny detektyw jak pan...

— Na pewno, na pewno — powiedział z pobłażliwym uśmiechem.

— To niewielka rzecz. Tymczasem...

Zauważyłem, że ten wypadek bardzo go zdenerwował, więc wyszedłem, zapowiedziawszy, że jeszcze powrócę.

Kiedy wróciłem w trzy godziny później, trzynaście kartek zabazgranych rachunkami zalegało podłogę. Sławna krzywa dzwonowa Gaussa rozciągała się na tablicy, a obok, przypięty pineskami do ściany, wisiał plan Paryża, cały zaryzowany czerwonymi liniami.

— Świetnie pan trafił — przywitał mnie, nie przestając manipulować suwakiem. — Będzie pan mógł przekonać się naocznie o skuteczności mojej metody.

— Jest pan na tropie klejnotów księżniczki? — spytałem.

— Klejnotów? Jakich klejnotów? Nie, szukam mojego parasola.

Wskazując plan Paryża rozpoczął:

— Oto bardzo dokładna droga, którą przebyłem dziś rano. Wyszedłem z domu o godzinie 9,36 z parasolem, a wróciłem o godzinie 11,43 bez parasola. W takim razie zaprzepaściłem go pomiędzy godz. 9,36 a 11,43 w którymś punkcie drogi. Rozumie mnie pan?

Rozumiałem go doskonale, więc ciągnął dalej:

— Po pierwsze: prawdopodobieństwo, że nie pozbyłem się tego przedmiotu przed pierwszym moim przystankiem — jest duże, choć właściwie nie ma tu całkowitej pewności matematycznej.

Po drugie: nawierzchnia bulwaru Raspail, którym wracałem o godz. 11.15, jest w naprawie, jednak nie odnotowałem tego końcem mojego parasola. Stąd wniosek, że już go wtedy nie miałem. Zatem wydarzenie trzeba usytuować między punktem, który nazwę A, a punktem, który nazwę B.

Nagle stuknął się w czoło i rzucił się w stronę telefonu.

— Halo! Instytut Meteorologiczny?... Mówi Cezar Coupatout... Tak, detektyw. O której dokładnie godzinie padało w centrum Paryża dziś do południa? Ach nie, proszę dokładnie!...

— Pomiędzy 10,20 a 10,35.

— Dziękuję bardzo.

Triumfujący odwrócił się w moją stronę:

— Padało, a nie zostałem zmoczony. Rozumie pan?

Chwycił suwak i zauważyłem, że liczył średnią szybkość marszu i punkt, w którym mógł się znajdować, gdy zaczął padać deszcz.

— Dochodzę do końca — zawiadomił mnie. — Parasol zgubiłem dokładnie między końcem ulicy Vaneau, a początkiem bulwaru Raspail. Rozwiązanie już prawie gotowe. Bardzo pana proszę, niech pan teraz nie przeszkadza. Będę musiał całkowicie się skupić.

Przez dobre 10 minut bez przerwy pisał. Siedziałem cicho, podziwiając jego błyskawiczne rezultaty. Nagle zadzwonił telefon. Cezar Coupatout niezadowolony podniósł słuchawkę, zamienił kilka słów z nieznanym rozmówcą, a następnie zwrócił się do mnie:

— Mój przyjaciel Gaston zawiadamia mnie, że parasol jest u niego. Byłem tego pewien. Niech pan sam spojrzy!

Dał mi kartkę, na której atrament nie zdążył jeszcze wyschnąć i przeczytałem na niej:

„Mój parasol znajduje się w przedpokoju Gastona, gdzie go zostawiłem dziś rano o godzinie 10,57".

— Proszę bardzo — powiedział skromnie Cezar Coupatout. — Teraz zajmę się tymi klejnotami. To proste, prawda?

To było proste i godne podziwu, przyznałem bez ociągania. Niektórzy będą uważali, że Cezar zrobiłby to szybciej, gdyby zadzwonił od razu do swego przyjaciela Gastona, który był jedyną odwiedzoną przez niego osobą, ale ci nigdy nie zrozumieją piękna czystej nauki.

PAUL COGAN
Tłumaczył: Tomasz Zieliński

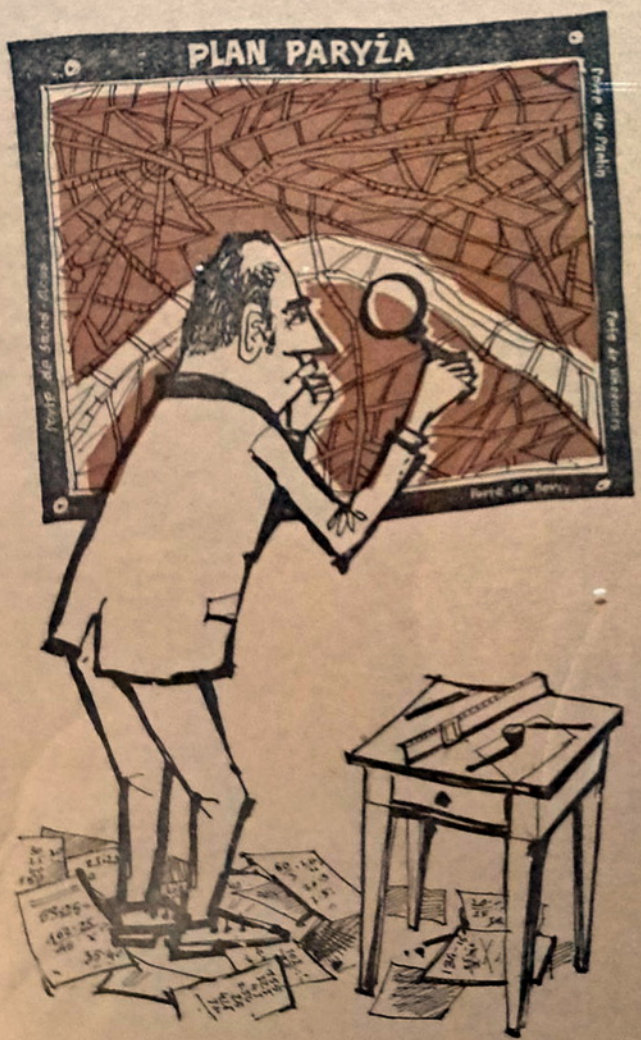

Korespondencja z Czechosłowacji

Mistrzyni w gimnastyce

Najbardziej popularnym sportem w Czechosłowacji jest hokej na lodzie. Największe kryte lodowiska mogą pomieścić 12 tysięcy kibiców, ale gdyby wybudować w Pradze, albo w Bratysławie, stadion lodowy na 60—80 tysięcy miejsc, wtedy również byłby komplet widzów. I to nie tylko na wielkich meczach z Kanadą albo Związkiem Radzieckim, ale również podczas rozgrywek pierwszej ligi. Golonka, Ledomansky, Suchy, bracia Holikovie... te nazwiska czołowych hokeistów są tak samo popularne jak na przykład piosenkarzy: Karela Gotta albo Matuszki. Na drugim miejscu dopiero można upatrywać piłkę nożną, potem kolarstwo i lekkoatletykę.

W tej sytuacji wydawać by się mogło, że od wielu lat, rok rocznie, najlepszym sportowcem tego kraju może zostać tylko przedstawiciel, którejś z wymienionych przeze mnie dyscyplin sportowych. Otóż, tak nie jest. Najlepszym sportowcem CSRS w ubiegłym roku i w innych latach wybrana została gimnastyczka Vera Caslavska, a najlepszy hokeista upatrywał się dopiero na 10 miejscu.

Vera Caslavska!... Któż z kibiców sportowych nie zna tego nazwiska? Jej występy ściągają takie same tłumy ludzi, jak wielkie mecze hokejowe czy piłkarskie. I to nie tylko w Czechosłowacji. Byłem w Pradze, kiedy otrzymywała ona z rąk przedstawiciela władz sportowych wielki puchar i dyplom za tytuł sportowca roku 1967. Duża hala sportowa była wypełniona po brzegi publicznością. Burza oklasków powitała wspaniałą gimnastyczkę, która od wielu lat zwycięża na Olimpiadach, Mistrzostwach Świata i Europy.

— Ile ma pani złotych medali?

— Osiemnaście! — odkrzyknęła. — Zdobyłam je na Olimpiadach i Mistrzostwach Świata! A pierwszy złoty otrzymałam w roku 1959 na Mistrzostwach Europy. Był to złoty medal za ćwiczenia na równoważni!

— Czy jest pani mężatką?

— Jeszcze nie — odpowiedziała. — Ale mam narzeczonego... Jest on lekkoatletą, biegaczem. Znacie go!?

Jej ćwiczenia na równoważni i na poręczach oraz skok przez konia to szczyty technicznej perfekcji. Aż wierzyć się nie chce, że człowiek może dokonywać takich ewolucji na równoważni, czyli na wąskiej belce, umieszczonej wysoko. Za tę właśnie konkurencję Vera otrzymuje zazwyczaj najwyższe noty od sędziów.

Po wręczeniu pucharu i dyplomu publiczność zaczęła zadawać Verze pytania. Odpowiadała wszystkim...

— Ile ma pani lat? — ktoś zapytał.

— Urodziłam się w roku 1942 — odparła — i już od 15 lat reprezentuję nasz kraj.

— Odłożił!

— A jak będzie w Meksyku?...

Na sali zapanowała cisza. Vera spoważniała. Potem powiedziała do mikrofonu:

— Będzie ciężko. Mam wspaniałą konkurentkę. To reprezentantka Związku Radzieckiego, Natalia Kuczyńska. Ćwiczy wspaniale i jest taka młodziutka. A ja chciałabym jeszcze raz zwyciężyć.

Spotkanie skończyło się. Przecisnąłem się do Very.

— Chciałbym panią zobaczyć na treningu — powiedziałem.

Uśmiechnęła się do mnie.

— Mój trening to w tej chwili tajemnica. Przygotowuję na Meksyk nowy układ. Nie chciałabym, ażeby już teraz wszyscy wiedzieli, jaki będzie mój występ na Olimpiadzie. Chyba pan mnie rozumie...

Doskonale zdajemy sobie sprawę, że i sportowcy mają swoje tajemnice.

ZBIGNIEW PAWŁOWSKI

SPRÓBUJ ROZWIĄZAĆ

KRZYŻÓWKA

POZIOMO: 1 — miasto bohater, miasto pokoju, stolica; 5 — fantazyjny wesel, służący do ozdoby (adiponiale); 9 — czarna tkanina żałobna; 10 — przełęcz w Tatrach Wysokich; 12 — całość wydrukowanych egzemplarzy książek lub czasopism, system produkcji rzemieślniczej; 14 — rozszerzona, szczytowa część łodygi przy kwiatku kwiatostanowym; 16 — liczman, blaszka lub płytka zastępująca w grze pieniądze; 17 — linia biegu zawodników, droga wytyczona; 19 — służy do pisania; 23 — milionowa część oma; 25 — rzemieślnik; 27 — rzeka w Egipcie; 28 — czwarta część godziny; 29 — satrapia, namiestnik.

PIONOWO: 1 — zezwolenie władz państwowych na wjazd, wyjazd lub pobyt w danym państwie; 2 — produkt z mleka; 3 — najszersze uprawnienia samorządowe, prawo obywateli jakiejś narodowości narodowo-terytorialnej; 4 — stolica Ghany; 5 — dźwig wieżowy, żuraw, przyrząd do wypuszczania cieczy lub gazu; 6 — człowiek rozmyślnie powolny w działaniu; 7 — skorupiak; 8 — góry w Ameryce Pd.; 11 — wołą w nim dzieci; 13 — zbiornik, mieszczący ładunek prochowy i spłonkę; 15 — liczebnik; 18 — pokonał go Krakus; 20 — logiczność, uzasadnienie, znaczenie czegoś; 21 — może być szczęśliwa lub nieszczęśliwa; 22 — część uprzęży u konia; 24 — pierwiastek chemiczny; 26 — inaczej sześcian lub drzewo liściaste (wspak).

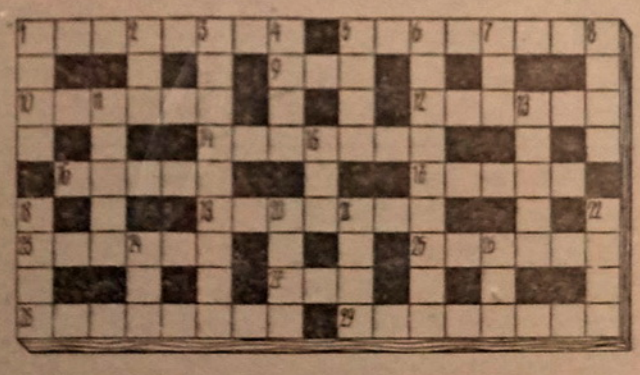

Rozwiązania należy przysyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na karcie pocztowej lub kopercie: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

UWAGA! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. REDAGUJE ZESPÓŁ. Sekretarz redakcji — 28-25-41. Sekretariat administr. 21-13-41. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA I SPORTOWA" RSW „Prasa" Warszawa, ul. Bagatela 14. Biuro ogłoszeń. — W-wa, Mokotowska 24, tel. 21-11-04. Druk. Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5. Prenumerata miesięczna z. 4.80 —, kwartalna 12.00 —. Wpłaty przyjmują Urzędy Pocztowe i listonosze wiejscy do dnia 15 każdego miesiąca. Wpłat dokonywać również można na konto PKO Nr 1-6-102029 — Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch", Warszawa, ul. Wronia 23 — do dnia 10 miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty. ADRES REDAKCJI: WARSZAWA, UL. MOKOTOWSKA 24.
Zam. 431. N-52

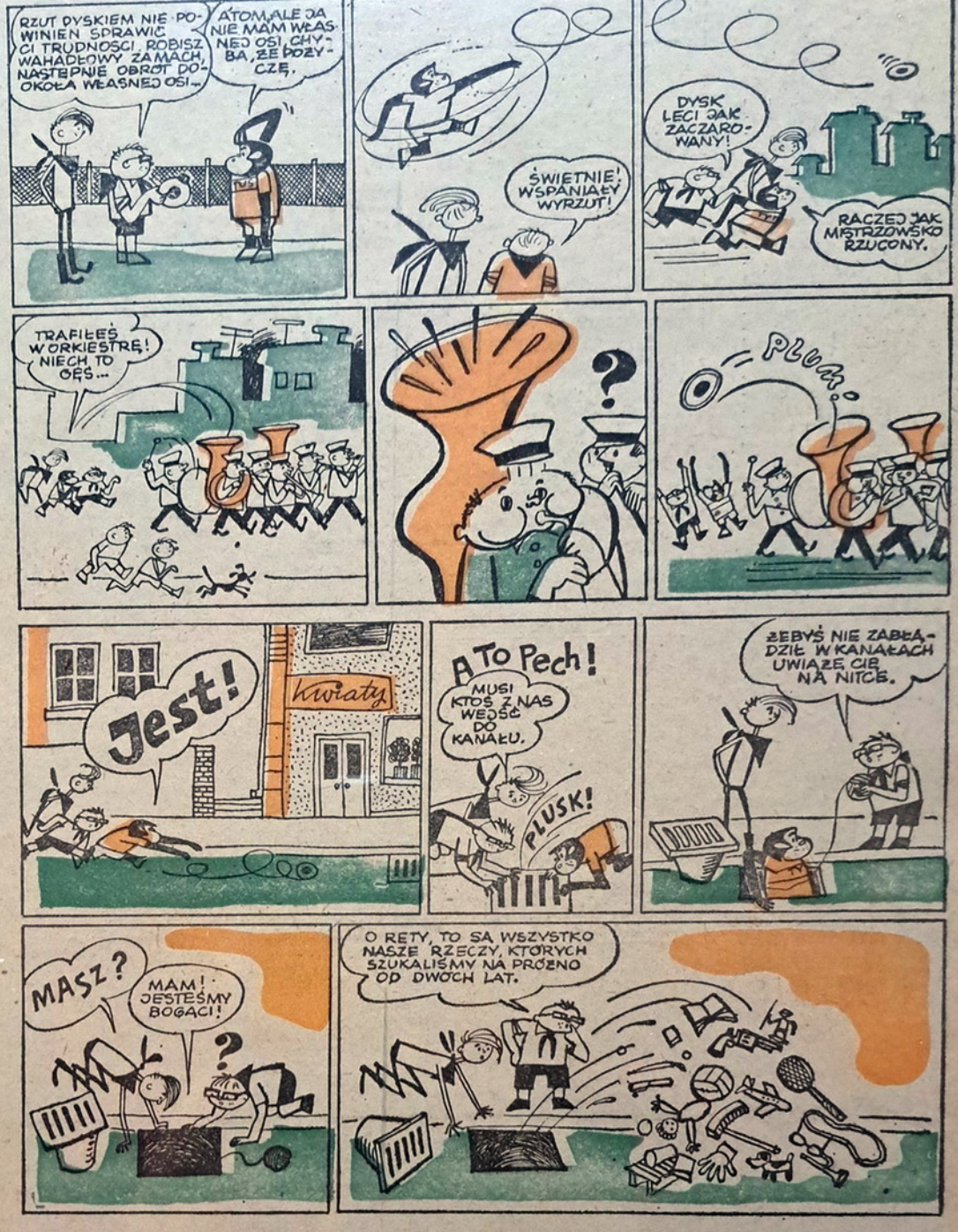

POCZTA NEPTUNA

181 lat temu grupa japońskich marynarzy opuściła kraj, na niewielkim statku, w poszukiwaniu „wyspy skarbów" na Oceanie Spokojnym. Niestety, silny tajfun wyrzucił niefortunnych poszukiwaczy szczęścia na brzegi bezludnej wyspy. Marynarz Matsujama, który jako jeden z niewielu przeżył katastrofę, nagryzmolił na kawałku drewna kilka słów o tym, że jego towarzysze w większości zginęli i posłał ten zaimprowizowany list rodzinie, wrzucając go w butelce do morza.

Półtora wieku później, w 1935 r., butelkę z pismem Matsujamy znaleziono na wybrzeżu, niedaleko japońskiego miasta Hiratutemura, skąd właśnie pochodził nieszczęsny marynarz. Dawno przebrzmiała informacja, chociaż z tak wielkim opóźnieniem dotarła jednak do rąk potomków Matsujamy.

W innym przypadku pismo wysłane „pocztą Neptuna" nie tylko dotarło do miejsca przeznaczenia, ale nawet dostało się do rąk... wysyłającego. W 1925 r. brytyjski parowiec „Kent" zatonął w Zatoce Biskajskiej. W momencie katastrofy jeden z pasażerów wyrzucił w morze butelkę z kartką następującej treści: „Statek w płomieniach. Elżbieta, Joanna i ja oddajemy nasze dusze w ręce Opatrzności. Mac Gregor."

Po upływie półtora roku od tego wydarzenia na brzegu jednej z Wysp Bahamskich znaleziono butelkę ze wspomnianą kartką. Znalazca zwykłą pocztą przesłał „list" pod adresem nakreślonym na kartce. W taki sposób przesyłka trafiła w ręce samego Mac Gregora. Udało mu się bowiem uratować z katastrofy wraz z nieliczną garstką pasażerów i marynarzy.

KLUB NASTOLATKÓW

JAK POMÓC AGNIESZCE?

Mam 15 lat. Od dwóch lat lubiłem Agnieszkę. Jest ładna, a co dla mnie było najważniejsze, bardzo dobrze się uczyła. Ja także byłem niezłym uczniem. Stanowiliśmy parę wielkich przyjaciół. Przejawiało się to szczególnie w nauce. Zwierzałem się jej ze wszystkich kłopotów. Ona również nie miała przede mną żadnych sekretów.

Ale od niedawna zaczęło się coś między nami psuć. Stała się szorstka, a w niektórych momentach nawet arogancka. Dowiedziałem się, że pali. Wtedy zrozumiałem, że są to konsekwencje wpływów złych koleżanek i kolegów. Próbowałem jej wytłumaczyć, że źle postępuje, że papierosami i tym swoim grubiaństwem do niczego nie dojdzie. Nie pomogło. Wreszcie postawiłem sprawę jasno: jeśli z tym nie skończy, koniec z naszą przyjaźnią. Nie zaszła żadna zmiana. Dalej paliła. Chwaliła się nawet posiadaniem papierosów.

Teraz, kiedy między nami wszystko skończone, chciałbym po raz wtóry wytłumaczyć jej, jaki popełnia błąd. Nie wiem, co mam robić. Nie boję się rozmowy, ale nie wiem, jak mnie potraktuje, czy w ogóle warto tłumaczyć. (b.s.)

BOGDAN